

Widok Krynicy

d. c. ze strony 6

Wszystko zgodnie z postepem: totalistycznie, nacjonalistycznie, hitlerystycznie, modernistycznie — i jeszcze wiele, wielokrotnie — stycznie.

A pod jakim imieniem djabel nowoczesny występował?

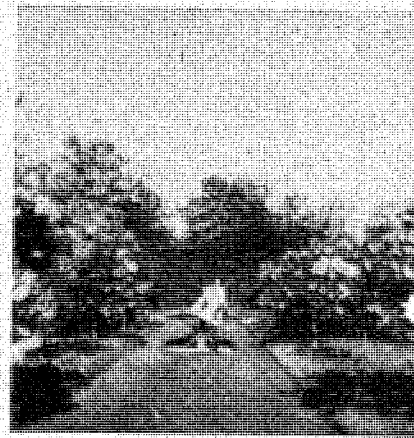
Słownik języka polskiego znalazł dotychczas prawą nogę i Staszek pada na ziemię.

Teraz nowe określenia: Niemiec. German, Hitler, eses, gestapowiec i. t. d.

To są nowoczesne nazwy djabła.

I nie to nie znaczy, czy ktoś chce wierzyć w djabła czy nie.

Djabel jest.



Krynica — park zdrojowy

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

Pierwsza bitwa Staszka Błaszczyka

Nawała artyleryjska, która od kilkudziesięciu minut kładła się masą ognia i żelaza na niemieckie pozycje, nagle się urwała. Powietrze przesyłały ostre gwizdki dowódców: piechota ruszyła do natarcia.

Staszek Błaszczyk starszy strzelec w 6. drużynie kompanii „Wilków” przedzierał się mozolnie przez krzaki i zarośla, biegł, padał i pełzał zbliżając się coraz bardziej do niemieckich schronów, podobnie jak to czyniły inne Str. K. Jasie i Józki z innych drużyn plutonów i kompanii.

Pierwszy raz był w takim ogniu i aż dziwił się sam sobie, że to takie proste, zwyczajne, nie straszne. Lecz potem, który rozpoznał po smugach świetlnych pocisków, bijących z jego wnętrza.

Nagle obok rozlega się krzyk: „Ratujcie, ratujcie!” Staszek odwraca głowę: dowódca drużyny leży za krzakami: „Co ci jest?” — „Oko, moje oko!” — jęczy drużynowy. Staszek pochyla się nad nim. Lewa strona twarzy drużynowego przedstawia w tej chwili jedną krwawą miazgę... Z lewego boku broczy krew, wsiąkając w strzępy podartego munduru. Staszek nakłada opatrunki. „Sanitariusz! sanitariusz!” woła w nocną ciemność. „Idę!” — odpowiada mu głos z dołu. A więc tutaj już wszystko w porządku. Trzeba pędzić dalej.

Zaledwie zrobił kilka skoków, gdy zatrzymuje go wołanie: „Kto idzie?” Poznał głos plutonowego ze swojej kompanii. „To ja, Błaszczyk!” — „Staszek! Czy masz granaty?” — „Mam!” — „To fajno! Ciśnij no tu parę do tego schronu, bo nie możemy się ruszyć!”

Staszek podbiega do schronu, odbezpiecza granat, przytrzymuje chwilę, żeby nie mogli mu Niemcy odrzucić jego podarku — i — tomot! Po detonacji schron milknie. Następnym granat jest już zbędny. Droga wolna — można iść dalej!

Przeskakują przez szczyt wzgórza, schodzą przeciwstokiem w dół, i zalegają w krzakach, oczekując aż nasza artyleria wydłuzi ogień i można, będzie posuwać się dalej.

Ktoś jednak musi zastąpić rannego dowódcę drużyny. Jest wprawdzie kapral Smolarek, ale on jest celowniczym przy l.k.m. W więc Błaszczyk obejmuje drużynę na swoją komendę. Artyleria przesuwają ogień do przodu. Trzeba się rozglądać za stanowiskiem dla l.k.m. i drużyny. Staszek przedziera się przez krzaki. Za nim kapral Smolarek i dwóch strzelców. Uszli może ze 20 kroków, kiedy z dołu, dobiega ich uszu jakiś szelest i szmery. Błaszczyk daje swoim znak, żeby padli, a sam woła „Tu wilk! Kto

wy?” — W odpowiedzi biją w niego serię ze Spandau i Schemisserów. Ostry bóg przesywa prawą nogę i Staszek pada na ziemię.

Niemiecki ogień jest bardzo silny, nie ma sposobu się podnieść. Z tyłu słychać jęki. Staszek poznaje głos kaprala Smolarka. Kapral leży za nim o jakieś 5 metrów, trzeba zobaczyć co mu jest, Błaszczyk próbuje stanąć, ale bóg w prawej nodze jest zbyt silny: iść nie da rady. Włga się więc. Zaledwie zrobił parę ruchów bardzo kula w drugą nogę. Niemcy strzelają z seryjnym karabinem, Staszek słyszy jak przebiegają, nic, tak — zmieniają magazynki. Ile nie widzi strzelać ze Spandau. Rozwściec on zaczyna na te słyszą Thompsona na ścieżce w krzaki.

Ma to ten sam los. Staszek przestaje strzelać, ale za to zaczyna rzucać granaty. Jeden z nich gwiżdża nad Błaszczykiem, sieka gałgę i uderza jego głowę. Nie! Tędy dłużej się nie utrzymał. Zaczyna więc powoli czołgać się do tyłu. Od czasu do czasu sycze serią z Thompsona w krzaki przed sobą.

Przestzelone nogi drętwieją, ból szarpie mięśnie. Nareszcie jest przy rannym kapralu. „Co ci jest, Smolarek?” — Ale Smolarek nie odpowiada. Jęczy tylko przez zaciśnięte zęby: „Dobij mnie, dobi!”... Staszek patrzy: kapral ma jedną nogę urwaną powyżej kolana, brzuch rozpruty serią ze Spandau'a. Nie ma rady, trzeba się wlec dalej po pomoc dla niego. „Słuchaj, Smolarek” — mówi „zaczekaj chwilę jeszcze, ja zaraz zawołam sanitariusza” i pełźnie dalej do tyłu.

Te kilkadziesiąt metrów drogi trwa długo, bardzo długo... W pewnej chwili nogi zawadzają o coś. Staszek się ogląda: ktoś leży. Podpełza na wysokość twarzy leżącego i poznaje kolegę, strzelca Petryka — zabity serią Spandau'a przez pierś. Temu już nie pomoże, ale trzeba ratować Smolarka. Pełźnie dalej, choć w nogach ból coraz sroższy, coraz ostrzejszy.

Nareszcie w krzakach słychać jakiś ruch, jakiś głos. „Ratunku!” — woła Staszek. Pochylają się nad nimi znajome twarze, unoszą z ziemi ręce przyjaciół — dotarli do swojej kompanii. Sanitariusz kompanijny nakłada mu opatrunki na nogi. Na szczęście kość nigdzie nie jest naruszona. „Słuchaj, Władek” — mówi Błaszczyk — „tam pod tą górką leży Smolarek, ciężko ranny idź do niego” — „Smolarek?” — dziwi się sanitariusz — „to ty nie wiesz, że on już dawno zastygł!”

„Ach tak! Już po nim!...” — zastanawia się Staszek — „zginął Smolarek, zginął Petryk, drużynowy ranny i ja... Ile też czasu już trwa ta bitwa? Zaczęło się przed północą, teraz już

jest dobrze po południu, ze czternaście godzin byłem w ogniu...” Wielkie zmęczenie i senność ogarnia. Staszka. Rany szarpia i pieką. Ciało staje się ciężkie i leniwe. Leży tak bezwładnie i czeka, aż go sanitariusze zabiorą do tyłu.

Ale noszy nie widać. Za to rozpoczyna się jakiś nowy, gorączkowy ruch. „Wyszło niemieckie przeciwuderzenie” — słyszy jak mówi obok jakiś kapral. Potem głosy się oddalają — milkną. Staszek rozumie, że został sam na ziemi niczyjej. Co ma robić? Leży bezwładny i czeka, bo wierzy, że nasi zaraz wrócą. Odbiją atak niemiecki, i wrócą. Przyjdą, zabiorą go, odniosą na punkt opatrunkowy, do szpitala... O, słychać jakieś szmery w krzakach... Coś się rusza w zaroślach, gałgę sie chwycił... i nad Staszkiem pochylają się Niemcy z karabinami gotowymi do strzału.

Patrol niemiecki, który zapuścił się aż tutaj, ma już ze sobą kilku lekkich rannych Polaków. Niemcy każą im wziąć na ręce bezwładnego Staszka i nieść ze sobą. Tak doszli do niemieckich schronów. Tych innych jeńców odprowadzono zaraz dalej, a Staszkiowi powiedziano, że go odwiozą — może już tej nocy — do szpitala. Na razie zatrzymano go w schronie.

Przyszedł oficer z jakimś tłumaczem niby mówiącym po polsku i zaczęło się badanie. „Kto tu był?” — „Przecież widzicie, że my, Polacy!” — „Tak, tak, wiemy! A kto dowodzi? Jakiego oddziały? Ile artylerii?” — Ale Staszek na wszystkie pytania kręci przecząco głową: „Nie rozumiem” — Oficer zaczął krzyżeć, grozić, tłumacz też. „Jako? przecież mówię do ciebie po polsku!” — „Gdybyś ty mówił po polsku to bym rozumiał, ale ty nie mówisz po polsku...” — Odpowiadał Staszek. Zresztą był przekonany, że go zaraz wykończą. Było mu już wszystko jedno... Byle prędzej... Tylko pić się chciało okropnie. Poprosił o wodę — „Wody nie ma” — powiedział tłumacz „podziękuj waszej artylerii: tak strzelają że żadne dostawy dojeść nie mogą”.

Z rana przyszedł sanitariusz niemiecki, poprawił opatrunki, dał trochę wody. „Może już tej nocy zabierzemy cię do szpitala” — powiedział i poszedł.

W schronie ze Staszkiem siedziało kilku żołnierzy niemieckich. Co jakiś czas wychodzili, ażeby pozbiierać swoich rannych, bo artyleria polska kładła na ich linię nawałę. — „Spróbuj ucieknąć” — myślał Staszek — „jak znowu wyjdą ucieknę” — I kiedy koło południa Niemcy zostawili go samego, zaczął wyczołgiwać się ze schronu na kolanach, podpierając się łokciami.

d. c. na stronie 8

d. c. ze strony 7

Odpełził tak ze trzydzieści metrów, zaszył się w zarośla. Serce mu mało nie wyskoczyło z piersi z wrażeń i z radości. Po chwili, leżąc w krzakach, usłyszał powracających Niemców. Nagle wybuchł gwar podnieconych głosów: zrozumiał, że odkryto jego ucieczkę. Słyszał, jak Niemcy przetrząsają krzaki, jak zaczęli strzelać w zbity gąszcz zarośli. Leżał nieruchomo i czekał, co będzie. Uratowały go moździerz Silny ogień położony na schrony zapędził Niemców do bunkrów. Wokół Staszka zaczęły się rwać pociski. Jakiś mały odłamek i kilka kamieni uderzyły go w twarz. Otarł rękawem trochę krwi. Ściągnął głowę: cała! — od tego się nie umiera.

Tak w tych krzakach przeleżał do nocy. Gdy się ściemniło, ruszył dalej. Kierował się na północ w dół, nie chciał przechodzić szczytem, bo widział podczas natarcia, jak gęsto tam stały niemieckie schrony, — szukał więc innego przejścia. Byle zsunąć się stokiem w dół, do jaru, potem paręset metrów tym wąwozem i zacznie się stok nowego wzgórza, na którym siedzą już nasi! Czołgał się więc i czołgał, wiążąc za sobą jak ślimak skorupę — ciężar bezwładnych nóg. Nie wiedział już, nie pamiętał,

Niemców. Leży więc w krzakach, patrząc z utęsknieniem na domki, w dole. Pragnienie jest coraz silniejsze, chwilami zdaje się być nie do wytrzymania. A jednak trzeba wytrwać!

Tak, to drzemiąc, to się budząc w gorączkowym, chorym półśnie doczekał Staszek do zmierzchu.

Czeka jeszcze chwilę i widząc, że ogień się skończył, rusza dalej. Czołga się, odpoczywa, sił mu już braknie, ale wytrwale dąży naprzód. Nareszcie, nareszcie dopełzył do zabudowań. Zaczyna je przeszukiwać. Pragnienie teraz stało się już istną torturą. Pić, pić za wszelką cenę! W jednym z domków znajduje na ławie jakąś butelkę. Potrząsa nią — coś bulgoce. Bez namysłu przytłoka do ust i pije, pije... Co to było? Czuje zapach octu i kwaśny smak w ustach. W żołądku pali. — „Może się otrujęm?” — myśli Staszek — „ach, już wszystko jedno, nie mogę dłużej!...”

Zwałił się w kącie izby i zasnął.

Gdy się obudził, był już pełny dzień, słońce wysoko stało na niebie. W żołądku czuł wciąż jeszcze dość mocne bóle i palenie, ale żył. Tylko, że był już bardzo słaby i wycieńczony z ran, głodu i umęczenia. Zaczyna przypowiadać sobie,

późnej nocy i wyruszy.

Wieczorem gorączka znów podskoczyła. Rany bolały i pieką. Dokucza głód. Ale jest woda w manierce. Pociągnął parę łyków orzeźwiło go to. Wolniutko sunie przez krzaki. Jeszcze za dnia zauważył ściek na zboczu wzgórza, postanowił pełznąć tym ściekiem. Ale od razu musiał zrezygnować z tej wygodnej drogi: ściek był bardzo gęsto zaminowany. Czołga się krzakami przedziera przez splątane zarośla. Stracił już całkowicie poczucie czasu, nie pamięta, jak długo trwa ta wędrówka, gdy naraz widzi przed sobą zasieki z kolczastego drutu. Poznaje: to są zasieki polskie!

Przed zasiekami było pole minowe. Staszek się rozgląda, szuka jakiegoś przejścia między minami, może gdzieś upadł pocisk i wysadził kilka min. Niestety, pole jest w jaknajlepszym porządku. Biedny Staszek nie ma wyboru. Zostać — to znaczy w każdej chwili dostać kulę od Niemców albo od swoich. Wracać? nie po to męczył się tyle dni, ażeby teraz dobrowolnie iść w ręce wroga... „Niech się dzieje wola Boska... — westchnął Staszek, przeczekał się i ruszył na przelaj przez pole min.

Jak przebył cały ten pas zaminowany i za-



Rudolf Hoess
kat Oświęcimia w
momencie

odtransportowania go do
Polski, gdzie stanie przed
sędzią, aby ponieść
zastępną karę.

ile to czasu trwa... Mogło już być koło północy, gdy w tej wędrówce zamajaczył mu przed oczyma niemiecki schron. Skrzył gwałtownie w lewo, odpełził kilkanaście kroków — i zamarił przed nowym schronem. Pomyślał z przerażeniem, że trafił na jakąś inną, nieznaną sobie linię niemieckich umocnień.

Czołga się jak może najciszej. Udało się! Teraz jest już poza linią bunkrów na odkrytym, niezakrzaczonym zboczu, zarośla są z prawej strony o 4—5 metrów. Z wydentanej ziemi poznaje, że znajduje się na jakiejś ścieżce idącej równoległej do schronów. Rozumie, że musi zniknąć jaknajszybciej! Wije się jak robak po ziemi, byle prędzej, byle do tych krzaków! Wtem słyszy za sobą kroki i głosy...

Wyciągnął się nieruchomo, zamarił, stara się nie oddychać... Z krzaków wychodzi jeden Niemiec, po tym drugi... Zauważyli, czy nie? — Nigdy sekundy nie wlokły mu się z taką przeraźliwą powolnością, nigdy serce nie tomołało tak gwałtownie w piersi. Ale nie — kroki i głosy oddalają się, milkną... Zydyszany i zgorączkowany wpełza Staszek w zbawcze zarośla.

Świt zastaje go nad brzegiem jaru. Nieopatrywane od trzech dni nogi pieką żywym ogniem, ciałem wstrząsają dreszcze gorączki, potworne pragnienie jak kleszczami dławi za gardło. Na dnie parowu widzi jakieś zabudowania. Gdybyż się do nich dostać: tam musi być woda. Ale cóż — w dzień tam nie pójdzie, zbyt wielkie ryzyko, może znów trafić w ręce

ile to też czasu już się tak poniewiera? Zaraz! Tak! Już cztery dni minęło, jak go zabrali Niemcy!... Patrzy z niewymownym żalem na to wzgórze, na którym powinni być nasi. Ach, gdyby te nogi były zdrowe... Ale i tak się nie podda! Za nic! Nie zamrze tu, przecież niemal na oczach swoich. Trzeba tylko koniecznie znaleźć wodę. Przecie tu musi być na pewno gdzieś studnia, ci ludzie, co tu mieszkali musieli skądś brać wodę... Zaczyna więc raczkować dookoła zabudowań. Opadał dostrzeża dwa kopczyki, ułożone z kamieni. Podpełza do nich. Nareszcie! Kopczyk kamieni otacza jasne źródło wody! Pochyla się, zdejmując hełm. czerpie nim wodę i pije, pije, pije...

Orientując się z kierunku strzałów polskich moździerzy, których pociski zalatywały w tę dolinę, że musiał pełzać w prawo na wzgórze: wzgórzem tym mógł się posuwać nawet w dzień, tak silnie było o no zakrzaczane. Po długiej uciążliwej wspinaczce dotarł nareszcie na sam szczyt do ostatniego krzaka. Rozchylił ostrożnie gałęzie i zaczął się rozglądać. Na lewo w odległości jakichś 30. kroków zobaczył schron, bardzo dobrze widoczny, bo nie zamaskowany z tej strony, na prawo schodziła w dół cała linia schronów. Były to schrony niemieckie.

Staszek z jakim osunął się na ziemię. Znów jest na linii niemieckich schronów... Dwa dni kręci się jak w zaczarowanym kole. Czyżby ta jego męka, te wysiłki miały pójść na nic? Postanowił spróbować jeszcze raz. Doczeka się

sieki, i dlaczego i tym razem ani zaczął o porykacz, ani nie wyleciał na żadnej z dziesiątków min — tego nie dojdzie nikt, nie może też pójść do dziś sam Staszek.

Kiedy już zauważył, że nie ma więcej ani zasieków, ani min — wyczerpany zupełnie osunął się bezwładnie na ziemię. Z wrażeń i zmęczenia zemdlął...

Powoli wracała przytomność. Wraz z nią dotarły do uszu gorączkowe szept. Usłyszał słowa polskie... „Strzelaj” — ponaglał jeden głos. „Kiedy go nie widzę” — szeptał drugi — „O, tu, tu... pod tym krzakiem na lewo...”

Staszek zamarił... „Chłowcy!” — zaczął szeptać pośpiesznie — „nie strzelajcie! Jestem Polakiem, ranny, wracam z niewoli...”

„Wstawaj, ręce do góry” — dobiegł go szept z naprzeciwka. — Nie mogę, mam przestrzelone nogi... — odpowiada Staszek. — „To kładź się twarzą do ziemi i rozkrzyżuj ręce” — usłyszał rozkaz. Posłusznie wtulił się w darń.

Za chwilę pochyliły się nad nim jakieś postacie. — „Tak, to nasz” — posłyszał głos nad sobą — „zabierajcie go do lekarza...”

I znowu we świadomości Staszka tworzy się czarna luka. Znów nie pamięta nic. Kiedy się budzi, widzi mdłe światło lampki, oświetlające schron. Czuje, jak jakieś ręce odwijają zaskorupiałe bandaż na nogach. — „Daj mu kawy z rumem” — mówi jakiś głos.

Rozumie wtedy, że nareszcie dostał się do swoich, że jest uratowany.

Dwa Wiersze

Dobycie wawozu pod Samo-Sierra

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturm Frankowie zuchwali;
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudna dla męźnych ta droga;
Próżne wysiłki męstwa i rozpacz,
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga...

Wtenczas bohater co wiódł nasze męże,
Przybiegł gdzie polskie służyły się orężu:
W cichym milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały.

„Wy co z waszemi znajome szeregi
Egiptu piaski, Apeninu śniegi,
Ty ze łwiem sercem młodzieży nietrwożna
Wam to zwyciężać gdzie innym nie można!”

Rzeki — huczą trąby, ostrz mieczów się świeci
Przez grad kartaczów las poroców leci,
Grzmi grom po gromie i razem ustaly;
Na wierszchu szaniec usiadł orzeł biały.

A. Górecki

A. Górecki, żołnierz-poeta, uczestnik natarcia na Samo-Sierra.

Fragment

Skok i przypad do ziemi. Huk i błysk... błysk i huk.
Diaczego Janek tak jęczy?

Przestań!

„Boże! Janek! Janku... Już nie słyszysz.

Huk i błysk, błysk i huk znowu.

Śmieszny ten trup spalony z oderwaną głową

Taki gruby i czarny... — Uwaga, uwaga!

Podciągnąć się do muru! Bliżej!

Przed tobą spandau uparcie wybija dziury w żwirze.
Tu artyleria nie strzela. Tu już nie biją moździerze.
Tylko na dawne trupy kładą się ciała świeże.

Pełniesz przez mur zwałony. Uważaj! Są w dole...

Podciągnij się na łokciach. Granatem!

Już kolej...

W ten pień zwałony drzewa różnij serię!

Tam, w lewo!

Ruchy szybsze od myśli. — Uważaj! Z prawej strony...

Pot ci oczy zalewa. Jaki ten pot czerwony...
Jak dziwnie, czy dziwignąć nie możesz tompona?
Ciężki?... Jesteś zmęczony?...

Kiedy ci krew stygnąca zalewa oczy zamglone
Teraz, dopiero teraz, kolego, jesteś zmęczony.

Tomasz Dobrowolski

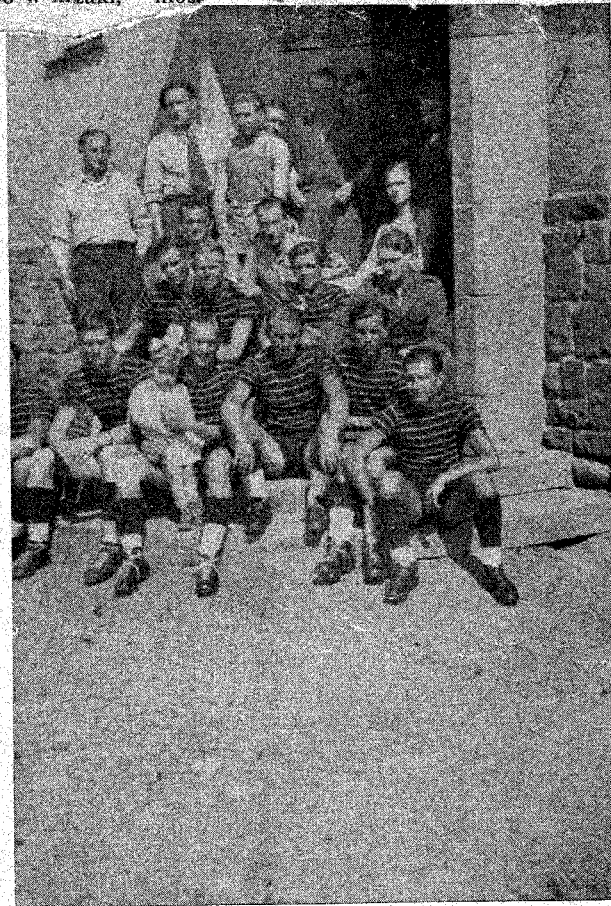
T. Dobrowolski, żołnierz-poeta, uczestnik natarcia na 593.



OBÓZ POLSKI FRITZLAR

Fotografia z lewej:
Policja obozowa defiluje

Z prawej:
Grupa Kacetowców



Nieprawdopodobne, — a jednak prawdziwe

Anegdota ta jest bardzo stara. Dużo osób zna ją już może, jest jednak tak zajmująca, że warto ją przeczytać, a nawet poświęcić trochę czasu i przerachować.

Do bogatego, a skąpego i chytrego monarchy zgłosił się pewnego dnia nieznajomy. Zapytany przez wartowników, poco przychodzi, oświadczył, że celem jego chęci widzenia się z monarchą jest ciekawa propozycja finansowa. Ponieważ strażnicy znali swego pana i wiedzieli, że w sprawach handlowych zawsze chętnie przyjmu-

siąc dukatów, a za to otrzyman każdego dnia, począwszy od jednego grosza, codziennie dwa razy więcej niż dnia poprzedniego. — Zgadzą się! — odrzekł szybko monarcha, ale chcąc znać prawdziwy powód przybycia nieznajomego, zapytał! — Czego jeszcze chcesz?

— Królu, nie wymagam nic więcej, jak tylko dotrzymanią umowy! Zdziwienie i radość monarchy nie miały granic. Zawołano świadków i sekretarza, który sporządził umowę. Łakoma ręka króla trzęsła się z chytrłości przy podpisy-



Obóz Polski — Fritslar. Szwecy przy pracy

interesantów, dopuścili nieznajomego do narszej kominaty. Czego chcesz odemnie? — pytał zaciekawiony monarcha.

Panie! proponuję ci zawarcie ze mną układu handlowego. Od jutra codziennie w ciągu jednego miesiąca będę przynosił ci tysiąc dukatów. Za to chcę otrzymać pierwszego dnia 1 grosz, drugiego dnia 2 grosze, trzeciego 4 grosze, piątego 8 groszy, i tak dalej. Tak będzie przez cały miesiąc, codziennie przynosić ci będę ty-



Warszawa, — Aleja Ujazdowska

siem tysięcy dukatów. Nieznajomy złożył równowarciu pałac, prosząc o przygotowanie na następny dzień jednego grosza.

Król nie mógł zasnąć tej nocy. Radość łatwego wzbogacenia się i obawa o dotrzymanie umowy przez nieznajomego spędzały sen z powiek.

Rankiem nieznajomy zjawił się i przyniósł obiecany 1.000 dukatów.

Król przeliczył pieniądze drżącymi palcami, schował do skrzyni i wzamian położył przed nieznajomym jeden grosik. Ten milcząco schował grosik do sakiewki, a odchodząc rzekł: Jutro o tej porze przyniosę znowu 1.000 dukatów. Proszę przygotować należne mi dwa grosze.

Nazajutrz nieznajomy zjawił się punktualnie, odliczył 1.000 dukatów, i wręczył je królowi, pobrał swoje dwa grosiki i odszedł, przypominając o przygotowaniu na następny dzień czterech groszy.

Trzeciego dnia monarcha otrzymał znów 1.000 dukatów, a wypłacił tylko 4 grosze. — Szalenięc-pomyślał rozradowany król-za nędzne grosze przynosi mi tysiące. Następnego dnia do skrzyni złożył król nowy tysiąc, który kosztował go 8 groszy. Piątego dnia kasa monarsza wzbogaciła się o jeszcze jeden tysiąc dukatów za 16 groszy. Szósty dzień przyniósł szósty tysiąc za trzydziści dwa grosze.

Po tygodniu król zrobił dokładny rachunek: 7 dni po 1.000 dukatów — 7.000 dukatów. — to był wpływ, a wydatki: — 1 dukat 27 groszy.

6.998 dukatów i 73 grosze czystego zysku.

Interes był doskonały, król zacierał ręce z radości.

Tymczasem nieznajomy zjawił się codziennie, punktualnie o tej samej godzinie przynosząc 1.000 dukatów.

Dziesiąty tysiąc kosztował zaledwie 5 dukatów i 12 groszy. Do kasy wpłynęło już dziesięć tysięcy dukatów, a nieznajomy otrzymywał dotychczas razem tylko 10 dukatów i 23 grosze.

Chytry monarcha zaczął żałować, że zrobił umowę tylko na jeden miesiąc. Dlaczego nie przedłużyć jej i zarobić więcej. Postanowił zaproponować nieznajomemu prolongowanie układu na następny miesiąc. Podczas bezsennej nocy doszedł jednak do wniosku, że może spłoszyć swego nieznajomego dobrodzieją i ten przestanie przynosić pieniądze.

I tak trwało dalej. Nieznajomy przynosił codziennie 1.000, inkasował należne mu kilka dukatów i skromnie prosił o przygotowanie nazajutrz podwójnej sumy.

Monarcha płacił bardzo chętnie.

Piętnasty tysiąc kosztował 163 dukaty i 84 grosze, a ogólna suma wypłacona nieznajomemu przekraczała zaledwie 300 dukatów. Szesnasty tysiąc kosztował 327 dukatów 68 groszy, siedemnasty 655 duk. 36 groszy. Szybkie wzrastanie wypłacanych sum zaniepokoiło poważnie króla, kiedy jednak obliczył, że za siedemnaście tysięcy zapłacił trochę ponad tysiąc trzysta dukatów uspokoił się znowu.

Następny dzień był dla króla smutniejszy do poprzednich, bo osmnasty tysiąc kosztował 1.310 dukatów i 72 grosze.

Odebrało mu to humor i ochotę do dalszego robienia interesów z nieznajomym. Niestymowa była podpisana i król nie wypadał cofać. Teraz wypłacone sumy wzrastały z zawrotną szybkością:

19-ty tysiąc kosztował 2.621 duk. 44 grosze.

20-ty tysiąc kosztował 5.242 duk. 88 groszy.

21-ty tysiąc kosztował 10.485 duk. 76 groszy.

22-gi tysiąc kosztował 20.971 duk. 52 gr.

Po dwudziestym drugim dniu monarcha był już stranny, gdyż otrzymał od nieznajomego 22 tysiące dukatów, a wypłacił przez te dni prawie 42 tysiące. Niestety do końca trwania umowy pozostało jeszcze 8 dni. Teraz sumy rosły już z niewiarygodną szybkością, ruinując doszczętnie chytrego monarchę. A oto jak wzrastały sumy w ostatnich dniach miesiąca:

za 24 — ty tysiąc — 83.886 duk. 08 gr.

za 25 — ty tysiąc — 167.772 duk. 16 gr.

W dwudziestym ósmym dniu nieznajomy otrzymał za przyniesiony tysiąc dukatów, aż 1 milion, 342 tysiące, 177 dukatów i 28 groszy.

Monarcha już był zupełnie zniszczony. Skarbiec jego opustoszał. Musiał zaciągać pożyczkę, aby dotrzymać umowę do końca.

Dwudziesty dziewiąty tysiąc kosztował 2.684.354 dukatów i 56 groszy.

a ostatniego dnia nieznajomy otrzymał 5.368.709 dukatów i 12 groszy.

Zrozpaczony król postanowił obliczyć wiele wwołać nieznajomemu za 30 tysięcy dukatów, które, jak wydało się początkowo, miał otrzymać prawie darmo. Okazało się, że wypłacił: 10 milionów, 737 tysięcy, 418 dukatów i 23 grosze.

Niewierni niech zadadzą sobie trud i obliczą sami!